Nowe tłumaczenie Prousta

Część pierwsza. Combray

I

Przez długi czas kładłem się spać wcześnie. Niekiedy, zaledwie zgasiłem świecę, oczy zamykały mi się tak szybko, że nie zdążyłem powiedzieć sobie: „Zasypiam”. Pół godziny później budziła mnie myśl, że pora nareszcie zasnąć; chciałem odłożyć książkę, którą, jak mniemałem, wciąż jeszcze trzymałem w dłoniach, i zgasić światło; już we śnie, nieustannie przewijały mi się przez głowę myśli związane z tym co przed chwilą przeczytałem, przybierały one jednak charakter dość osobliwy: zdawało mi się że to ja sam byłem tym o czym traktowała książka: kościołem, kwartetem, rywalizacją między Franciszkiem I a Karolem V. Przeświadczenie to trwało jeszcze przez kilka sekund po przebudzeniu; nie kłócąc się z rozumem, ciążyło mi niczym łuski na oczach, nieświadomych tego że świeca w lichtarzu już się nie pali. A później stawało się dla mnie niezrozumiałe, niczym myśli z poprzedniego istnienia po metempsychozie; treść książki odrywała się ode mnie, mogłem skoncentrować się na niej lub oddalić i odzyskiwałem zdolność widzenia, zdziwiony tym że spowija mnie łagodna ciemność, kojąca dla oczu a może jeszcze bardziej dla umysłu, któremu jawiła się jako coś bez przyczyny, niezrozumiałego, coś prawdziwie mrocznego. Zastanawiałem się która to mogła być godzina; dobiegał mnie bardziej lub mniej oddalony gwizd pociągów, niczym śpiew ptaka w lesie, wyolbrzymiając odległości, i zakreślał mi bezmiar pól gdzie podróżny śpiesznie podąża ku najbliższej stacyjce; ścieżka którą idzie, na zawsze wryje się w jego pamięć, podnieconą widokiem nieznanych miejsc, niezwyczajnych działań, niedawną rozmową i pożegnaniem w blasku cudzej lampy, towarzyszącym mu jeszcze w nocnej ciszy, w bliskiej już słodyczy powrotu.

Wtulałem twarz w kształtne policzki jaśka, które, pulchne i świeże, są niczym policzki naszego dzieciństwa. Pocierałem zapałkę, by spojrzeć na zegarek. Dobiegała północ. To właśnie chwila kiedy chory, który musiał udać się w podróż i spędzić noc w nieznanym hotelu, obudzony atakiem choroby, cieszy się na widok smugi dziennego światła pod drzwiami. Co za szczęście, to już rano! Za chwilę wstanie służba, będzie mógł zadzwonić, ktoś mu pośpieszy z pomocą. Nadzieja rychłej ulgi dodaje mu odwagi w cierpieniu. Właśnie jakby słychać skądś kroki: zbliżają się, później oddalają. Smuga światła pod drzwiami zniknęła. To północ; przed chwilą wyłączono gaz, ostatni służący odszedł i teraz trzeba będzie jakoś przetrzymać tę noc; znikąd ratunku.

I znowu zasypiałem, budząc się zaledwie na chwilę, na tyle tylko by posłyszeć trzeszczenie rozsychającej się boazerii, z otwartymi oczami zatonąć w kalejdoskopie mroku i w przebłysku świadomości rozkoszować się snem, w którym trwały pogrążone meble, pokój, wszystko to czego byłem zaledwie drobną cząstką i z czym zlewałem się ponownie w bezczuciu. Innym razem cofałem się bez wysiłku do najwcześniejszych, na zawsze straconych lat minionego życia; powracały nagle moje dziecięce lęki, na przykład lęk przed gestem wuja, który już-już ma pociągnąć mnie za pukiel włosów – lęk ten rozproszył się dopiero w dniu, kiedy mi je obcięto, równoznacznym dla mnie z początkiem nowej ery. We śnie nie pamiętałem o tym wydarzeniu, odnajdując jego wspomnienie natychmiast, gdy tylko udało mi się ocknąć, by nie dosięgła mnie dłoń wuja; dla ostrożności jednak, zanim znów pogrążyłem się w świecie marzeń sennych, otulałem głowę jak najszczelniej jaśkiem.

Niekiedy, niczym Ewa zrodzona z Adamowego żebra, zamajaczyła mi jakaś kobieta, wynikła z niewłaściwej pozycji mego uda. Wyłaniała się z przedsmaku rozkoszy, a ja wyobrażałem sobie, że to

ona mi ją ofiarowywała. Moje ciało, czując w jej ciele własne ciepło, już miało się z nim połączyć – i wtedy się budziłem. Reszta istot ludzkich zdawała mi się bardzo odległa wobec tej kobiety, którą opuściłem zaledwie przed chwilą; mój policzek był jeszcze ciepły od jej pocałunków, ciało zdrętwiałe od ciężaru jej ciała. Jeżeli, co zdarzało się niekiedy, miała rysy kobiety którą znałem w życiu, pragnąłem poświęcić się całkowicie jednemu celowi: odnaleźć ją, niczym ci, co ruszają w podróż, by ujrzeć na własne oczy upragniony zakątek, i wyobrażają sobie, że można skosztować w rzeczywistości uroków marzenia. Pomału jej wspomnienie bladło, zapominałem córy moich snów.

Śpiący trzyma w dłoni nić godzin, porządek lat i światów, w których kręgu śni. Obudziwszy się, instynktownie zasięga ich rady, odczytując z nich w ułamku sekundy miejsce, jakie zajmuje na ziemi, i upływ czasu aż do tej chwili; ich szyki jednak łamią się i mącą. Niech no tylko o świcie po nocy bezsennej zdrzemnie się w trakcie czytania, w pozycji innej niż ta, w której zwykł zasypiać, wystarczy by podniósł ramię, a słońce się wstrzyma i cofnie w swym biegu, on zaś, tuż po przebudzeniu, nie wiedząc która to godzina, pomyśli, że dopiero co się położył. Niech przyśnie w pozycji jeszcze bardziej niewygodnej, innej niż normalna, na przykład po kolacji w fotelu, a nastąpi zupełny przewrót pośród światów wysadzonych ze swych orbit, magiczny fotel zabierze go w podróż, unosząc z maksymalną szybkością w przestrzeni i w czasie, w chwili zaś gdy otworzy oczy, pomyśli, że ułożył się do snu kilka miesięcy temu, w innej okolicy. Wystarczyło jednak, żebym zasnął we własnym łóżku, snem głębokim i całkowicie odprężającym umysł, aby ten oderwał się od miejsca w którym zasnąłem, i gdy budziłem się w środku nocy, nieświadom gdzie się znajduję, w pierwszej chwili nie wiedziałem nawet, kim jestem, w jej pierwotnej naturalności miałem jedynie poczucie istnienia, takie, jakie tli się zapewne w zwierzęciu; byłem odarty ze wszystkiego, jeszcze bardziej niż człowiek jaskiniowy, i wtedy wspomnienie – nie tyle miejsca gdzie się znajdowałem, ile raczej kilku przynajmniej miejsc, w których bywałem lub mogłem bywać – wstępowało we mnie niczym pomoc dana mi z góry, by mnie wyciągnąć z nicości, z której nie zdołałbym się wydrzeć własnymi siłami; w ciągu sekundy prześlizgnąłem się ponad wiekami cywilizacji, zanim niewyraźny obraz lamp naftowych, a następnie koszul z wykładanym kołnierzykiem, zaczął odtwarzać stopniowo prawdziwe rysy mojego ja.

Być może nieruchomość rzeczy które nas otaczają, została im narzucona przez naszą pewność, że są właśnie tym, niczym innym, przez usztywnienie naszego o nich myślenia. Tak więc, zawsze gdy budziłem się w ten sposób, mój umysł miotał się bezskutecznie, usiłując dociec gdzie jestem, wszystko wokół mnie wirowało w ciemności, rzeczy, krainy, czasy. Moje ciało, zbyt odrętwiałe aby się poruszyć, usiłowało, posłuszne formom własnego zmęczenia, ustalić położenie swych członków, by w ten sposób wywnioskować, gdzie znajduje się ściana, a gdzie meble, odtworzyć i nazwać miejsce, w którym się znalazło. Pamięć ciała, pamięć żeber, kolan i ramion, przywoływała kolejne obrazy, i były to różne pokoje, w których sypiało, podczas gdy dookoła wirowały w ciemnościach niewidzialne ściany, ciągle w innym miejscu, zależnie od kształtu wyimaginowanego pomieszczenia. I zanim jeszcze myśl, przekraczająca niepewnie progi czasów i form, dzięki zbliżonym okolicznościom zidentyfikowała któreś z owych mieszkań, ono właśnie – moje ciało – przypominało sobie odpowiadający każdemu z nich rodzaj łóżka, miejsce gdzie były drzwi, sposób w jaki światło wpadało przez okno, usytuowanie korytarza, odnajdując myśl towarzyszącą mi tam w chwili zasypiania i pojawiającą się tuż po przebudzeniu. Mój zesztywniały bok, usiłując odgadnąć swoje położenie, wyobrażał sobie na przykład, że leży tuż przy ścianie w wielkim łożu z baldachimem, i natychmiast mówiłem sobie: „No tak, w końcu usnąłem, chociaż mama nie przyszła do mnie powiedzieć dobranoc”; byłem na wsi u dziadka, zmarłego przed wielu laty, moje ciało, bok, na którym spoczywałem, ci wierni strażnicy przeszłości, o której mój duch nigdy nie powinien był zapomnieć, przypominały mi płomień nocnej lampki z czeskiego szkła, w kształcie urny zawieszonej na łańcuszkach u sufitu, kominek ze sieneńskiego marmuru w mojej sypialni u dziadków w Combray, w tych dniach odległych, które teraz wystawiałem sobie w wyobraźni, nie mogąc odtworzyć ich dokładnie, ale udałoby mi się to na pewno już za chwilę, niech no tylko się rozbudzę.

A później, powracało inne wspomnienie; ściana umykała gdzie indziej , a ja znajdowałem się na wsi, w swoim pokoju, u pani de Saint-Loup; mój Boże! jest co najmniej dziesiąta, musi już być po kolacji. Przedłużyłem sobie za bardzo sjestę, którą odbywam co wieczór po powrocie ze spaceru w towarzystwie pani de Saint-Loup, zanim przebiorę się we frak. Wiele bowiem lat upłynęło od czasów Combray, gdzie nawet gdy zdarzyło nam się wrócić bardzo późno, widywałem na szybach mojego okna czerwone odblaski zachodzącego słońca. W Tansonville, u pani de Saint-Loup, prowadzi się inny rodzaj życia, kultywuje innego rodzaju przyjemności których doświadczam, wyruszając na przechadzkę w nocy, chodząc przy świetle księżyca tymi samymi dróżkami, na których niegdyś bawiłem się w pełnym słońcu, a pokój, gdzie trwał będę w uśpieniu zamiast przebrać się do kolacji, ukazuje mi się już z daleka, gdy wracamy ze spaceru, prześwietlony płomieniem lampy – jedynej latarni pośród nocy.

Te kołujące we mnie, bezładne obrazy z przeszłości nie trwały nigdy dłużej niż kilka sekund; często moja przelotna niepewność co do miejsca w którym się znajdowałem, nie potrafiła także wyodrębnić składających się na nią przypuszczeń, tak jak na widok rozpędzonego konia nie umiemy oddzielić od siebie poszczególnych układów ruchowych, jakie nam ukazuje kinetoskop. Przed moimi oczami przesuwały się kolejno raz ten, raz tamten, różne pokoje w których mieszkałem, i w końcu przypominałem je sobie wszystkie w długim ciągu marzeń tuż po przebudzeniu: pokoje zimowe, w których układając się do snu, chowamy się wraz z głową w gnieździe uwitym z najbardziej niedorzecznych drobiazgów: z rogu jaśka, z górnego brzegu narzuty, ze skrawka szala, z krawędzi łóżka i numeru „Débats roses” , po czym wszystko to zlepia się na sposób ptasi, podczas gdy ubijamy w nieskończoność składniki własnym ciałem; to tam, w porze lodowatego zimna, rozkoszować się można do woli oddzieleniem od świata zewnętrznego (niczym jaskółka morska, której gniazdo kryje się w ciepłym wnętrzu ziemi); tam gdzie przez całą noc podsyca się ogień w kominku i usypia w obszernym płaszczu z rozgrzanego, dymnego powietrza, żarzącego się raz po raz błyskami polan, coś w rodzaju nietykalnej jaskini ciepła wydrążonej w głębi pokoju, gorącej strefy o ruchomych konturach termicznych, gdzie z kątów, z części sąsiadujących z oknem i oddalonych od paleniska dochodzą rześkie powiewy odświeżające nam twarz; pokoje letnie, gdzie tak miło poczuć, że jest się wtopionym w ciepłą noc, gdzie światło księżyca, wsparte o rozchylone okiennice, przerzuca swą zaczarowaną drabinkę aż do stóp łóżka, gdzie śpi się prawie na świeżym powietrzu, jak sikorka kołysana podmuchem na czubku promienia; czasami jest to pokój w stylu Ludwika XVI, tak wesoły, że nawet pierwszego wieczoru nie czułem się tam zbytnio nieszczęśliwy, gdzie kolumienki lekko podtrzymujące sufit rozstępują się z nieporównaną gracją, wskazując i chroniąc miejsce łoża; a czasem, wprost przeciwnie, widzę tamten pokój, mały lecz o bardzo wysokim suficie, wznoszącym się niczym piramida na wysokość dwóch pięter, częściowo wyłożonym mahoniem, gdzie od pierwszej chwili poczułem się duchowo zatruty nieznanym mi wcześniej zapachem bagna przeciw molom, doświadczając wrogości fioletowych firanek i bezczelnej obojętności ściennego zegara, jazgoczącego z całych sił jakby mnie tu nie było, gdzie dziwaczne, bezlitosne lustro wsparte na klockowatych nogach, barykadując ukosem kąt pokoju i zawłaszczając nieprzewidziane miejsce, wdzierało się brutalnie w pełnię mego pola widzenia; gdzie myśl moja, usiłując przez długie godziny przemieścić się, rozciągnąć ku górze, by dostosować się ściśle do kształtu pokoju i wypełnić sobą aż do samego szczytu ten gigantyczny lejek, podlegała torturom przez wiele ciężkich do zniesienia nocy, podczas gdy leżałem w łóżku wyciągnięty jak struna, z uniesionymi oczyma, nasłuchując niespokojnie, z napiętymi nozdrzami i bijącym sercem; w nadziei, że przyjdzie taka chwila, gdy przyzwyczajenie odmieni kolor firanek, zegarowi każe zamilknąć, nauczy litości skośne i okrutne lustro, przytłumi – jeśli nie zdoła go całkiem przepędzić – zapach bagna i znacznie obniży wysokość sufitu. Przyzwyczajenie! To zręczna, choć nader powolna gosposia, która całymi tygodniami każe nam cierpieć mękę prowizorki, lecz mimo wszystko jakaż to ulga wreszcie taką znaleźć! Bez oparcia bowiem w przyzwyczajeniu, skazany jedynie na własne zasoby, duch nasz nie zdołałby sprawić, by jakiekolwiek miejsce nadawało się na mieszkanie.

Tak, teraz już obudziłem się na dobre; moje ciało po raz ostatni obróciło się wokół własnej osi i dobry anioł pewności unieruchomił wszystko dookoła, ułożył mnie pod przykryciem w mym pokoju, sprawił, że komoda, biurko, kominek, wychodzące na ulicę okno i dwoje drzwi znalazły się mniej więcej na swoim miejscu, w ciemności. Ale na próżno rozum podpowiadał mi, że nie byłem w żadnym z tych domostw, których niewyraźny obraz czy też tylko potencjalną obecność podsuwała mi przez chwilę nieświadomość przebudzenia, pamięć moja została poruszona i na ogół nie starałem się zapaść natychmiast w sen; przez większą część nocy rozpamiętywałem nasze niegdysiejsze życie, w Combray, u mojej ciotki, w Balbec, Paryżu, w Doncieres, w Wenecji, czy jeszcze gdzie indziej, wspominając miejsca, osoby, które tam poznałem, to co zobaczyłem w nich ja sam, i to, co mi o nich opowiadano.

W Combray, codziennie pod wieczór, na długo jeszcze przed chwilą kiedy musiałem iść do łóżka i leżeć w nim bez snu całymi godzinami, z dala od mamy i babci, sypialnia moja stawała się za każdym razem bolesnym ośrodkiem mych obsesyjnych myśli. Chcąc dostarczyć mi rozrywki w te wieczory, kiedy wyglądałem na zbyt nieszczęśliwego, ktoś wpadł na pomysł obdarowania mnie latarnią magiczną, którą zakładano mi na lampę w porze przedkolacyjnej; na podobieństwo dzieł pierwszych architektów i mistrzów sztuki szklarskiej w dobie gotyku rozświetlała ona nieprzejrzystość murów, które pod jej działaniem zaczynały opalizować barwami tęczy, wypromieniowując z siebie wielobarwne, nadprzyrodzone zjawiska, a w ich kręgu malowały się legendy, jak na ulotnym, migotliwym witrażu. To jednak powiększało tylko mój smutek, jako że inne oświetlenie burzyło mój stan oswojenia się z tym pokojem, dzięki któremu, pomijając tortury zasypiania, stał się on w moich oczach całkiem znośny. A teraz już go nie rozpoznawałem i to sprawiało, że czułem się nieswojo, jakbym znalazł się w pokoju hotelowym lub w jakimś wynajętym domu na wsi, gdzie dotarłbym po raz pierwszy, prosto z pociągu.